№ 9 WARSZAWA, DNIA 2 MARCA 1912 ROKU ROK II




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.

# ZYGMUNT KRASIŃSKI.

## W STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN.

Wśród kilku rocznic, upamiętniających nam w roku bieżącym imiona i zasługi wielkich naszych mężów, jak Piotr Skarga, twórca „Kazań sejmowych“, jeden z największych patryotów, jakich Polska wydała, Józef Ignacy Kraszewski, znakomit autor tylu powieści historycznych i współczesnych, Hugo Kołłątaj, jeden z twórców konstytucji Trzeciego maja, Ludwik Kondratowicz (Władysław Syrokomla), rzewny i serdeczny „śpiewak litewski“, autor dobrze znanych gawęd i pieśni—setna rocznica urodzin Zygmunta Krasińskiego zajmuje miejsce bodaj najważniejsze.

Najmłodszy wiekiem z trzech naszych wielkich poetów - wieszczów (Mickiewicz starszy był od niego o lat 24, Słowacki o lat trzy), przyszedł na świat Zygmunt Krasiński dnia 19 lutego 1812 roku w Paryżu, jako jedyny syn pułkownika Wincentego Krasińskiego, dowódcy szwoleżerów, którzy przed czterema laty okryli się pod Somosierrą chwałą wiekopomną i Marji z Radziwiłłów, pasierbicy Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmu czteroletniego.

Spadkobierca imienia i rodu Krasińskich, w dziejach Rzeczypospolitej wsławianego (pradziad naszego poety, Michał, był marszałkiem konfederacji barskiej), syn uczestnika niedawnych świetnych bojów napoleońskich, podniesionego do godności jenerała, a w r. 1814, po bohaterskim zgo-

nie ks. Józefa, naczelnego wodza resztek armji polskiej, od najwcześniejszych lat marzył Zygmuntek, by dorównać chwale i zasługom przodków.

W r. 1815 ojciec jego przechodzi na służbę czynną w armji Królestwa Polskiego i osiada na stałe w Warszawie, gdzie prowadzi dom otwarty, na swych „obiadach czwartkowych“, zgromadzając, co najwybitniejszego miała wówczas stolica: mężów stanu, uczonych, poetów.

Odziedziczywszy upodobania literackie po ojcu, a wrażliwość i bujną wyobraźnię po chorowitej matce (która go odumarła, gdy miał lat 10), przyszły autor „Nie-Boskiej Komedji“ spędzał lata dziecinne w samotności. Dziwne to było dziecko! Od urodzenia obdarzony bystrością umysłu i niepospolitemi zdolnościami, wątły i chorowity, starannie kształcony w domu (jednym z jego nauczycieli był znakomity autor znanych powieści i dramatów, Józef Korzeniowski), pozbawiony rówieśników z ich hałaśliwemi zabawami i pustotą, smutny często i zamyślony, przedwcześnie rozwinięty umysłowo, pełen dumy i chęci odznaczenia się w przyszłości, podniecany jeszcze w tym kierunku przez ojca, który pragnął widzieć w swym jedynaku podziwiany przez wszystkich cud doskonałości i nieraz kazał mu popisywać się ze swą wiedzą wobec umyślnie sproszonych najdostojniejszych gości, nie był Zygmuntek dzieckiem szczęśliwem. Ale też wcześnie — ze szkodą dla zdrowia — dojrzał; wcześnie, bo już, w szesnastym roku życia, wstąpił do uniwersytetu w Warszawie (na wydział prawny); wcześnie, mając zaledwie lat 16, wziął się do pisania. W pierwszym, a zarazem ostatnim, roku pobytu jego w uniwersytecie, spadł na niego cios niespodziewany, a dotkliwy.

Jenerał Wincenty, który w r. 1814, kiedy przybył do Warszawy na czele niedobitków wojsk polskich, wiozących do ojczyzny śmiertelne szczątki ukochanego wodza, ks. Józefa Poniatowskiego, stał u szczytu wziętości i sławy, w latach następnych zaczął tracić jedną i drugą. Wierny honorowi rycerskiemu, chciał służyć nowemu władcy, cesarzowi rosyjskiemu Aleksandrowi, z takiem oddaniem się, jak dawniej Napoleonowi. A w kraju wrzało: tajne spiski i sprzysiężenia przygotowywały grunt pod przyszłą rewolucję, która miała wybuchnąć w r. 1830. Jenerał Krasiński był wszystkim tym ruchom głęboko przeciwny —i nie krył się z tem, czem ściągnął też na siebie powszechną niechęć.

A kiedy w r. 1828 wykryto jeden z takich spisków p. n. Towarzystwa „Patryotycznego” i uczestników jego oddano pod sąd t. zw. „sejmowy“ (t. j. złożony z członków sejmu), ojciec Zygmunta, jedyny z sędziów, głosował za karą śmierci dla oskarżonych.

Kiedy niedługo potem (w marcu r. 1829) zmarł prezes sądu sejmowego, Piotr Bieliński, młodzież akademicka, wraz z całą stolicą, wzięła udział w uroczystym pogrzebie. Zygmunt zaś, na rozkaz ojca, udał się na wykłady i sam jeden ich wysłuchał. Nazajutrz, znieważony przez kolegów, odarty ze znaków akademickich, wypchnięty z auli uniwersyteckiej, 17-letni męczennik uległości synowskiej, straszliwie przebolał ten czyn posłuszeństwa. Usuniętego z uniwersytetu, wysłał ojciec zagranicę dla uniknięcia dalszych nieporozumień z kolegami.

Łatwo zrozumieć, jak silnie takie przejście oddziałać musiało na wrażliwą duszę chłopca, jak szybko dusza jego dojrzała w ogniu takiej próby. Pobyt zagranicą (w Genewie i w Rzymie), przyglądanie się baczne życiu politycznemu na Zachodzie, pilne rozczytywanie się w książkach naukowych, które od najwcześniejszych lat pochłaniał dziesiątkami, uczęszczanie na

wykłady uniwersyteckie w Genewie, wycieczka po Szwajcarji w towarzystwie Mickiewicza, który mu na wiele rzeczy oczy otworzył,—wszystko to razem wzmagało jego ducha, przygotowując go do przyszłej twórczości poetyckiej.

A tymczasem przyszły wrażenia 1831 roku: pierwszą myślą Zygmunta było rzucić wszystko i biedz na pole walki. Ale surowy zakaz ojca trzymał go, jak na uwięzi.

Kiedy wreszcie wolno mu było powrócić (w r. 1832), w Warszawie pozostały tylko wspomnienia po niedawnych klęskach. Pragnąc uzyskać dla jedynaka wysokie w przyszłości stanowisko u dworu, powiózł go ojciec do Petersburga i przedstawił cesarzowi Mikołajowi I. Starania jednak ojca nie ziściły się: wątłe zdrowie Zygmunta nie znosiło surowego klimatu nadnewskiej stolicy. Musiał więc jenerał odstąpić od swego zamiaru i wysłać syna dla poratowania zdrowia na południe.

I odtąd Zygmunt wstępuje w szeregi poetów „emigracyjnych", t. j. przebywających na wygnaniu, jak wszyscy prawie nasi najwybitniejsi pisarze po r. 1831, z Mickiewiczem i Słowackim na czele. Do kraju powracał rzadko — i na krótko. O sprawach polskich wszakże nie zapominał: mówił o nich to z Papieżem Piusem IX., to z cesarzem Francuzów, Napoleonem III. (D. n.)

### Gustaw le Rouge.

# NIEWIDZIALNI.

Ciąg dalszy.

Po pierwszym odruchu przerażenia, Jerzy zbliżył się, aby się przyjrzeć straszydłu dokładniej: wtedy zauważył po obu stronach głowy jakieś brudno-białe płaty, wyglądające jak zwinięte skrzydła. Nadawały one temu skrzydlu pozór motyla, wyjętego przedwcześnie ze swej poczwarki. Jerzy pomyślał z dreszczem obrzydzenia i wstrętu, że taką to larwę straszliwą musiał odczuć Zaruk w lesie Ain-Draham — i wziął za «dżinna» (złego ducha).

Teraz w objektyw patrzył Ralf, zdyszany, z czołem pokrytem kroplami potu; doświadczał szalonej radości, oraz niesłychanej odrazy, lecz nie mógł oderwać wzroku: spojrzenie potwora formalnie go hypnotyzowało... Dołączało się do tego uczucie gorzkiego rozczarowania.

Więc to tak wyglądały owe niewidzialne istoty X, o których tyle marzył, wyobrażając sobie, iż są piękne i mgliste jak elfy i ondyny, subtelne i delikatne...

To, co widział, przyprawiało go o mdłości.

Czyżby te odpychające stworzenia, te wstrętne mikroby o twarzy szatańskiej, zaludniały otchłanie nieba i morza — będąc niewidzialnemi dla oczu ludzkich?

Myśli te nasunęły się zapewne wszystkim

uczonym; wszyscy czterej stali milczący, w słabem świetle fosforyzującego płynu.

Może żałowali teraz, iż uchylili rąbek zasłony, kryjącej tyle tajemnic?...

Boleński starał się wymyśleć sposób pochwycenia straszydła.

W tej chwili zapukano lekko do drzwi.

— Któż tam, do licha! — zawołał kapitan — nie można mieć ani chwili spokoju!

Zapukano powtórnie.

— Kto tam? — zawołał niezbyt uprzejmie Ralf.

— To lord Frymcock — rzekł bojaźliwie Zaruk.

— Wpuść go, niech już raz się dowiemy, czego chce! Zresztą, ja się z nim prędko załatwię.

Mówiąc to, Ralf nacisnął guzik elektryczny, pluszowe firanki usunęły się, sfałdowały przy ścianach i natychmiast fala oślepiająco jasnego światła zalała wnętrze laboratorjum. Wszyscy czterej mężczyźni odwrócili się prawie jednocześnie, patrząc na szklaną banię — lecz teraz płyn był kryształowo czystym, a padające nań promienie słońca zapalały w nim brylantowe i opalowe blaski.

Tymczasem lord Frymcock, przyodziany w elegancki garnitur wizytowy, wszedł do laboratorjum; na widok przyrządów naukowych, o nieznanych mu kształtach, usta jego okolił pobłażliwy uśmiech.

— Panowie — rzekł uprzejmie — darujcie mi, iż przerwałem wasze naukowe doświadczenia, lecz chciałem panów uprzedzić o tem, że miss Alberta, wbrew pierwotnemu zamiarowi, wróci bardzo późno. Odebrałem w tej chwili depeszę z Malty, gdyż miss Alberta nie miała już czasu telefonować.

Tak mówiąc, lord nierozważnie zbliżył się do naczynia z płynem; wyciągnął po nad niem rękę, w pierścieniach której brylanty iskrzyły się kolorami tęczy.

— Nie zbliżaj się pan! — krzyknął Boleński — na miłość Boga, oddal się w tej chwili! Pan nic nie wiesz, wiedzieć nie powinieneś nawet...

Ostrzeżenie przyszło zapóźno: ręka lorda została nagle pochwyconą przez niewidzialnego potwora i zanurzoną w płynie. Przerażony, z obłędnym wzrokiem, wzywał ratunku głosem ochrypłym, lecz ręka pozostawała uwięzioną, a płyn zabarwił się krwią. Po chwili zbladł trupio, a oczy wyrażały trwogę, graniczącą z szaleństwem.

Jerzy i Boleński, po chwilowem osłupieniu, rzucili się na ratunek, lecz zaledwie z wielkim wysiłkiem udało im się wyrwać rękę ze straszliwego uścisku.

Prawie w tejże chwili płyn się wzburzył: bryzgi i krople rozleciały się dokoła i jakaś niekształtna, mglista masa wyleciała w górę z szumem i pluskiem i znikła w otworze szklanego dachu. Zanim oprzytomnieli, Zaruk poskoczył i nacisnął guzik elektryczny: otwór zamknął się natychmiast. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a Ralf zawołał radośnie:

— Nareszcie się wyniósł!

— Nie mamy się z czego cieszyć — odparł Boleński — stało się wielkie głupstwo! Mieliśmy teraz jedyną sposobność: powinniśmy byli uwięzić to straszydło. Obyśmy nie pożałowali tego zaniedbania!

— Tak, to możliwe! — mruknął kapitan — straciliśmy zimną krew i panowanie nad sobą... Ale na co się zdadzą wyrzuty? Co się stało, już się nie wróci! Lepiej zajmijmy się lordem, który jest w położeniu godnem litości...

Zbliżyli się więc do wpółomdlałego biedaka: Ralf i Jerzy cucili go solami trzeźwiącemi, a on przychodził powoli do zmysłów. Ujrzeli wtedy ze zdumieniem, iż ręka cała była pokrytą krwawiącemi, drobnemi rankami, umieszczonemi na grubszych żyłach.

Gdyby nie szybka obrona, lord byłby umarł wskutek utraty krwi, jak ci, których pochwyci potworna ośmiornica.

— Cóż, czy czujesz się pan lepiej? — pytał troskliwie Jerzy.

— O, tak!—odparł, westchnąwszy głęboko — i zaraz dodał: -- Cóż to za zwierzę szczególne, którego nigdy nie jadłem!..

— Brawo! — zawołał, śmiejąc się Ralf — kiedy już zaczyna rozprawiać o kuchni, będzie niewątpliwie zdrów! Przez chwilę obawiałem się, aby nie oszalał ze strachu: to też bardzo się cieszę, widząc, że mu się nic nie stało. Jeśli się panu uda kiedykolwiek, kochany lordzie, pochwycić tego potwora, zgadzamy się, aby był podanym z sosem, jaki sam uznasz za najstosowniejszy! Co do mnie jednak, oświadczam iż go nie skosztuję.

Podczas tej rozmowy, kapitan obmył zranioną rękę silnym środkiem antyseptycznym i nałożył bandaż.

Jak to było do przewidzenia, nikt po odejściu lorda nie myślał o wznowieniu doświadczeń. Wszyscy jeszcze byli pod wstrząsającem wrażeniem zaszłego dopiero co wypadku.

Po niejakim czasie jednak, zapał naukowy ogarnął ich na nowo; wyrzucali sobie teraz (jak to przewidział Boleński) wypuszczenie z rąk okazu, nigdzie nie zapisanego w ziemskiej historji naturalnej.

Wybadywano Zaruka, lecz ten, nie ochłonąwszy jeszcze z przerażenia, dawał niejasne i powikłane odpowiedzi. Przekonanym był, iż w tę sprawę wdały się złe duchy, o których słyszał tyle i tak strasznych legiend...

Kapitan skłonnym był do uwierzenia, iż w tych podaniach jest jednak wiele prawdy: wieszczki, koboldy. błędne ogniki z bajek ludowych—te fantastyczne istoty, które znajdujemy w baśniach wszystkich narodów, były może właśnie tymi niewidzialnymi, wymykającymi się dociekaniom nauki?

Przypuszczenie, iż pewne organizmy posiadają własności wspólne z niewidzialnemi dla nas ciemnemi promieniami — nie mogło być zupełnie bezpodstawnem.

Można więe przyjąć, że źrenice Zaruka, osłonione od mocnych wrażeń światla, posiadały niesłychaną wrażliwość i odczuwały promieniowania, których obecność, zaledwie najcudowniej obmyślane przyrządy, są w stanie wykazać.

Tym razem hypoteza ta była popartą przez fakt niezaprzeczony, który miał miejsce w obecności poważnych świadków i pozostawił rzeczywiste ślady.

## V. Katastrofa.

Na zwykłem swem miejscu, na tarasie willi, skąd roztaczał się widok na dolinę, Jerzy Darvel rozprawiał z przyjaciółmi swymi o nadzwyczajnem wydarzeniu, którego byli świadkami. W ożywionej rozmowie, Jerzy dowiedział się o wielu wynalazkach, przez nich poczynionych, a będących dla ogółu jeszcze tajemnicą. Kapitan Wad odkrył promienie Z, pozwalające widzieć pokłady geologiczne w głębi ziemi, zapalać miny wybuchowe, palić okręty na odległość nieprawdopodobną.

Inżynier Boleński wynalazł i udoskonalił telefot, będący dla wzroku tem, czem telefon dla słuchu; dzięki jemu, baśń o zwierciadłach magicznych, pozwalających widzieć osoby oddalone, stała się rzeczywistością.

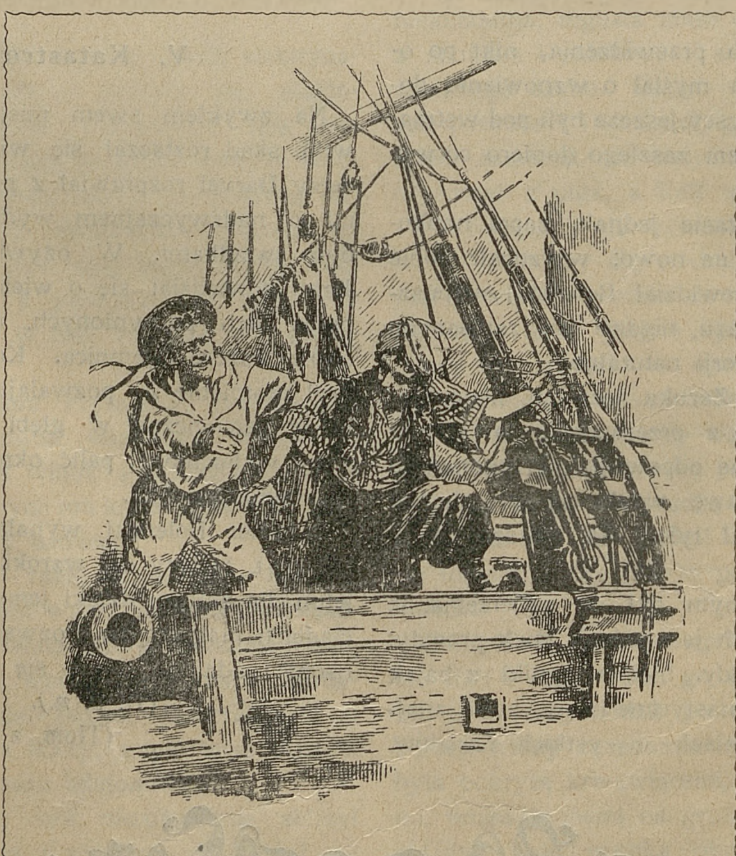
*(D. c. n.).*

(Tłom. z fran. *K. W.*).

# PRZYGODY ALMANZORA.

Ciąg dalszy.

Wtem dało się zauważyć pewne poruszenie w wojsku, co nie uszło bacznej uwagi chłopca; mówiono o pakowaniu się, o odwrocie, a Almanzor nie posiadał się z radości, gdyż przypuszczał, że przy odwrocie wojska, muszą go uwolnić. Zaczęto posuwać się z końmi i wozami ładownemi ku brzegom morskim, aż wreszcie pewnego dnia ujrzano okręty, stojące na kotwicach. Żołnierze poczęli pakować wszystko i umieszczać się na okrętach, lecz noc zapadła, gdy zaledwie mała garstka była



pomieszczona. Almanzor chętnie czuwałby noc całą, gdyż lada chwila oczekiwał uwolnienia swego, lecz w końcu oczy kleić mu się zaczęły do snu; przypuszczał później, że musiano mu dosypać jakiegoś proszku do jedzenia, aby go mocniej uśpić, gdyż obudziwszy się na drugi dzień, ujrzał, że słońce było już wysoko na niebie, a on znajdował się w maleńkim jakimś pokoiku. Zerwał się szybko z posłania, lecz stanąwszy na podłodze, stracił równowagę i upadł: wszystko pod stopami jego bujało się i drżało, a przedmioty dokoła zdawały się tańczyć mu przed oczami.

Powstał natychmiast i, trzymając się ścian, starał się wydostać z nieznanego sobie pomieszczenia. Dziwny szum i hałas rozlegały się dokoła niego; nie wiedział, czy to sen, czy jawa, gdyż nic podobnego nie doznawał jeszcze w życiu.

Wreszcie napotkał maleńkie, strome schodki, po których wdrapał się na górę, lecz któż opisze jego rozpacz i przerażenie? Jak okiem sięgnąć nie było nic widać, tylko niebo i morze... Znajdował się na okręcie!

Zaczął żałośnie płakać. Chciał się rzucić w morze, aby przepłynąć przestrzeń dzielącą go od ojczyzny i powrócić do rodziców. Frankowie jednak trzymali go mocno, a gdy wybuch pierwszej rozpaczy przeminął, zawezwał go jeden z wodzów do siebie i przyrzekł, że jeśli będzie posłuszny, odwiozą go do jego ojczyzny. Następnie wytłomaczył mu, że nie mogli go poprzedniego dnia wieczorem odwieźć do domu rodziców, a gdyby go pozostawili na brzegu, zginąłby z głodu.

Frankowie jednak nie dotrzymali danego chłopcu słowa, gdyż okręt płynął wiele dni, a gdy wreszcie przybił do portu, nie było to na egipskiem wybrzeżu, lecz we Frankistanie.

Podczas długiej podróży i przebywania swego w obozie, nauczył się Almanzor nieco narzecza Franków, co mu się bardzo przydało w kraju, gdzie nikt jego języka rodzinnego nie rozumiał. W czasie długich uciążliwych dni był on uprowadzany coraz dalej w głąb kraju, a wszędzie lud się zbiegał, aby go oglądać, gdyż wrogowie jego rozpowiadali, że jest on synem króla Egiptu, który go dla wykształcenia przysłał do Frankistanu.

Takie wieści rozpuszczali żołnierze, aby lud oszukać i kazać mu wierzyć w to, że Frankowie podbili Egipt i są teraz w wielkiej przyjaźni z tym krajem.

Po kilkodniowej podróży w głąb kraju przybyli do jakiegoś ogromnego miasta.

Tam oddano Almanzora pewnemu doktorowi, który wziął go do swego domu i objaśniał mu obyczaje i nawyknienia Franków. Przedewszystkiem musiał chłopiec zdjąć swój piękny i malowniczy strój egipski, a przywdziać krótkie i obcisłe odzienie francuskie. Następnie musiał zmienić formę pozdrowienia: głęboki poważny ukłon ze skrzyżowanemi na piersiach rękami został zabroniony, natomiast, gdy chciał kogo powitać, musiał prawą ręką zrywać szybko z głowy ogromną czapę z czarnego filcu (podobne czapki nosili tam wszyscy mężczyzni, dlatego i Almanzorowi włożyćją kazano) skrobnąć prawą nogą po ziemi, lewą zaś ręką wziąć się pod bok. Nie wolno mu było również siadać na ziemi z podwiniętemi nogami, tak, jak to czynili wszyscy w domu jego ojca, lecz kazano mu zajmować miejsce na wysokiem krześle, przyczem nogi musiały być zwieszone na dół. Nauka jedzenia również była bardzo utrudnioną, gdyż każdy kęs, który chciał do ust włożyć, musiał być nadziany na ostry żelazny widelec.

Doktór był bardzo surowym i złym człowiekiem. Gdy Almanzor zapomniał się i rzekł przy powitaniu „Salem aleikum“, dostawał uderzenie laską, gdyż powinien

był mówić „votre serviteur“. Nie wolno mu też było mówić, ani pisać, ani nawet myśleć w swym ojczystym języku, najwyżej było dozwolono śnić o swym kraju, gdyż kraina snów była dla jego pana niedostępną.

Byłby biedny Almanzor zapomniał zupełnie mowy swych ojców, gdyby nie człowiek pewien, który mieszkał w tem wielkiem mieście i był mu bardzo pomocny. Był to starzec bardzo uczony, który znał wiele wschodnich języków: arabski, perski, koptyjski, nawet chiński. Uchodził on w tym kraju za cud uczoności i dawano mu dużo bardzo pieniędzy, żeby innych uczył swej wiedzy. Człowiek ten pozwalał chłopcu przychodzić często do siebie, ugaszczał go zawsze drogiemi i rzadkiemi owocami, lub sorbetami, a Almanzor marzył wtedy, że jest w domu. Mądry starzec był szczególnym człowiekiem. Kazał dla swego małego gościa zrobić ubranie takie, jak noszą w Egipcie dostojni panowie. Suknie te przechowywał w swym domu w osobnym pokoju, a gdy chłopiec się zjawił, posyłał go tam ze służącym i kazał mu się ubierać, tak jak każą obyczaje jego kraju. Stamtąd udawał się do tak zwanej „Małej Arabji“. Była to jedna z sal w domu uczonego, która nosiła tak szczególną nazwę. Sala ta robiła wrażenie cieplarni, tyle było w niej palm, bambusów, młodych cedrów, kwiatów rzadkich i wogóle roślin, których ojczyzną jest wschód. Wspaniałe perskie dywany zaścielały podłogę, dokoła ścian były wezgłowia, nigdzie jednak oko nie spotkało francuskiego stołu, lub krzesła,

Na jednym z tych bogatych wezgłowi siedział uczony, wyglądał jednak zupełnie inaczej, niż zwykle: na głowie miał cienki turecki szal okręcony w turban, na piersiach, aż do pasa sięgając rozkładała się siwa przyprawna broda; wyglądała ona jednak, jak prawdziwa i nadawała mu wiele powagi. Ubrany był w długi, luźny kaftan, przerobiony z wzorzystego szlafroka, w szerokie tureckie szarawary, żółte pantofle i pomimo wielkiej łagodności i pokojowej natury, starzec w te dnie przypasywał do boku turecką zakrzywioną szablę, a z za pasa wyglądała rękojeść sztyletu, wysadzana sztucznemi kamieniami. W ustach trzymał fajkę długości dwóch łokci, a dokoła kręciła się służba również we wschodnich strojach. Połowa z nich miała twarze i ręce pomalowane na czarno.

Z początku wydawało się to wszystko bardzo dziwnem małemu Almanzorowi, ale potem przekonał się, że godziny, które spędzał u starego uczonego i w których się poddawał jego dziwacznym kaprysom, były dla niego bardzo pożyteczne.

W domu doktora każdy egipski wyraz był srogo zabroniony, tutaj zaś nie wolno było słowa po francusku powiedzieć. Przy wejściu musiał Almanzor złożyć starcowi wschodni ukłon, na który ten odpowiadał z powagą i uroczyście, następnie zaproszony skinieniem dłoni starego dziwaka, siadał chłopiec obok niego i zaczynała się rozmowa po arabsku, po persku, po turecku, rozmowa, którą pan domu nazywał „wschodnią“ lub „uczoną“.

*D. c. n.*

# REGALJA KRÓLEWSKIE.

## (Przygody profesora Nickiego i jego famulusa, Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Słońce już zachodziło, ostatniemi blaskami swemi oblewając wszystko wokoło.

Zaszło wreszcie, i mrok powoli otulać począł ziemię. Zrobiło się zupełnie ciemno, gdy w oddali błysnęły światełka w oknach pierwszych domków małego miasteczka, Nowego-Dworu.

— Zatrzymamy się tu na noc — rzekł profesor do pani Marcinowej.

— Czas już—odrzekła—gdzieżby się tu tłuc po nocy. Tylko Tomasz, zajedź do jakiej porządnej oberży!

Te ostatnie jej słowa posłyszał starszy z pośród jadących na bryczce obok i rzekł:

— Niech państwo zajadą w rynku do kupca. Tam najlepiej będzie się zatrzymać, gdyż można dostać co zjeść, a i przenocować można dobrze. Tam wszystka przyzwoita publiczność się zatrzymuje.

— Dziękujemy panom — odrzekła pani Marcinowa, a zwracając się o Tomasza, dodała:

— Słyszałeś, gamoniu? W rynku, do kupca!

Koła bryczki z dudnieniem podskakiwać poczęły po nierównym bruku ulicy miasteczka, po obu stronach której wznosiły się nizkie, parterowe domki, częścią chylące się do upadku, częścią zaś nowe. Gdzieniegdzie wznosiła się wyższa, piętrowa kamieniczka. Na ulicach snuły się gromady żydowskiej ludności, z żywą gestykulacją o czemś rozprawiającej, lub też z pełną melancholji powagą kroczącej przed siebie.

Z trzaskiem i hukiem obydwie bryczki wpadły na rynek, i zajechały przed jeden z większych sklepów, nad którym szyldy znamionowały kupca winno—kolonjalnego, oraz pokoje gościnne.

Wypadł sam gospodarz przed sklep, zapraszając przybyłych gości do wnętrza, nawołując służbę, by znosiła pakunki i wskazała Tomaszowi drogę do stajen.

I tu energiczna pani Marcinowa objęła komendę. Gdy kupiec zwrócił się do profesora z zapytaniem, czem służyć może?—odpowiedziała za niego:

— Kolacją i noclegiem!

— Może być i to — odparł jej z ukłonem kupiec zechce tylko pani szanowna wskazać, co chce mieć na kolację, a wnet się przygotuje. Pokoje gościnne zaś zawsze są gotowe na przyjęcie państwa.

— Dobrze — odrzekła pani Marcinowa, mile połechtana jego uprzejmością: — czy mogę pójść do kuchni, naradzić się co do kolacji?

— Ależ proszę, niech pani dobrodziejka

pozwoli—zapraszał ją kupiec, wprowadzając jednocześnie profesora i Pawełka, do większej sali, gdzie przy rozstawionych stołach siedziało parę osób.

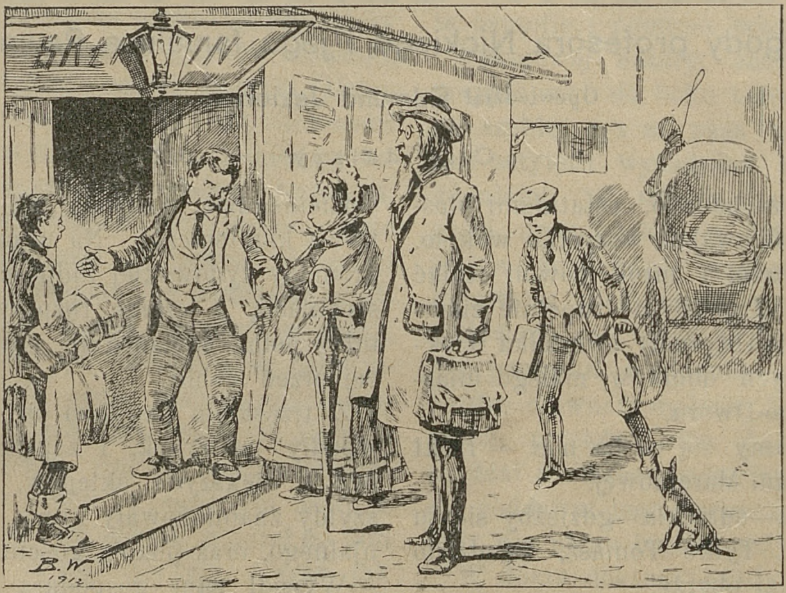
Znajdowali się tam już i owi handlarze trzodą, głośną prowadzący rozmowę na temat swego handlu.

Profesor z Pawełkiem zajęli miejsca w kąciku.

w nocy w dalszą podróż, udali się na spoczynek.

W pokojach gościnnych wszystko już było gotowe do spania.

Pani Marcinowa sama osobiście dojrzała wszystkiego, i nim upłynęło pół godziny, wszyscy spali smacznie, odpoczywając po trudach pierwszego dnia podróży.



— Proszę pana profesora —zapytał nieśmiało Pawełek:—czy Nowy-Dwór to duże miasto?

— Niewielkie—mój kochany. Miasteczko to, bez żadnej prawie przeszłości historycznej, liczy około 8,000 mieszkańców, przeważnie żydów, zajmujących się drobnym handlem i rzemiosłami. Leży ono przy ujściu Narwi do Wisły, oraz na trakcie, łączącym Płock i okolice z Warszawą. Ztąd wypływa pewno znaczenie jego, pod względem handlowym.

Słowa profesora przerwała pani Marcinowa, wnosząc dymiącą wieczerzę.

Zaczęli jeść z apetytem, zaostrzonym podróżą, i po spożyciu, pożegnawszy się z handlarzami trzodą, którzy udawali się

### IV. Nowym szlakiem.

Słońce już wzeszło dość wysoko, gdy pani Marcinowa obudziła się ze snu. Porwała się na równe nogi, a widząc, że już jest dość późno, przeżegnała się nabożnie mówiąc:

— Jezus Marja!... a toż przy tej warjacji pana profesora człowiek do cna zgłupieje... Któraż to już godzina?...

Spojrzała na zegarek i z przerażenia aż za głowę się schwytała.. Olaboga!.. ona, co w Warszawie wstawała codziennie najpóźniej o siódmej, dziś obudziła się dopiero o dziewiątej.

Robiąc sobie głośno wymówki za to zaspanie, ubierała się śpiesznie, byle tylko jaknajprędzej zająć się śniadaniem...

Ubrała się wreszcie i wyszła z pokoju, i gdy pierwszy nawinął się jej Tomasz, wpadła z gniewem na niego:

— A nie mogłeś to, gamoniu, obudzić mnie?.. Nie wiedziałeś, że już tak późno?...

— Eh — odrzekł jej Tomasz z filuternym uśmiechem, całując ją w rękę:—cioteczka spała tak smacznie, a chrapała przytem tak przeraźliwie, że dalibóg żal było cioteczki budzić... A i pan profesor nie kazał tego robić...

— Chrapała... chrapała... — rzekła pani Maciejowa, która na tym punkcie wielce drażliwą była — a pan profesor co robi?...

— A siedzi w pokoju i pije herbatę — odrzekł spokojnie Tomasz.

Jak burza wpadła pani Marcinowa do pokoju profesora...

Stał pochylony nad stołem, na którym rozłożoną była mapa, i coś na niej pilnie poszukiwał czy sprawdzał... Na drugim stoliku stała szklanka z herbatą, nie napoczęta jeszcze...

— A to nie mógł mnie pan profesor kazać obudzić, zajęłabym się śniadaniem— zwróciła się do niego z wymówką, zawstydzona tak późnem wstaniem.

— Nic się nie stało — odrzekł jej z uśmiechem profesor — Marcinowa wyspała się i wypoczęła należycie... Łatwiej będzie mogła dalszą odbywać drogę... Proszę, niech Marcinowa zajmie się teraz śniadaniem, gdyż po niem zaraz wyruszamy dalej.

Zakrzątnęła się pani Marcinowa i wnet zasiedli wszyscy przy śniadaniu, gdy naraz okazał się brak Pawełka.

— Gdzie się znów ten urwis zapodział?— z pewnym niepokojem w głosie spytała pani Marcinowa — żeby tam znów czego nowego nie zmalował!

— A widziałem go — odrzekł jej Tomasz. — jak o świtaniu, zabrawszy za pazuchę kawał chleba z kosza ciotki, gdzieściś poleciał...

— Nie zginie — rzekł spokojnie profesor: — chłopiec młody, ciekawy jest wszystkiego; zdąży jeszcze na czas...

Kończyli już jeść, gdy naraz drzwi rozwarły się z trzaskiem i na progu stanął... Pawełek. Twarz miał zarumienioną, rozradowaną, a oczy mu się śmiały...

— Gdzieżeś ty się włóczył, nieznośny chłopcze?... — zawołała pani Marcinowa...

— Chodziłem, cioteczko, nad rzekę, ażeby zobaczyć, czy inną jest od Wisły i jak wygląda, kiedy do niej wpada...

— No, i jak ci się podobała Narew?... — zapytał profesor.

— Phi... — odrzekł Pawełek — taka sama rzeka, jak i Wisła, tylko że ma jakiś kolor inny, jakby ciemno-siny. A pędzi wartko... Tylko nie rozumiem, dlaczego, wpadając do Wisły, nie łączy się z nią, tylko tworzą się dwie smugi: jedna mętnopłowa, druga przejrzysto-zielona...

— Dla tego — rzekł profesor — że Narew wpada do Wisły z taką szybkością, że nawet płynąc z nią w jednem korycie, długo swą siłę zachowuje i wody trzyma w skupieniu, nie rozpraszając ich i nie łącząc z wodami Wisły... A ten ciemny kolor jej pochodzi z tego, że płynąc przez lasy zabiera z sobą mnóstwo gnijących cząstek drzewnych...

— To Narew przez lasy płynie?... — spytał ciekawie Pawełek.

— Nietylko że płynie — odrzekł mu profesor — ale i z nich początek bierze. Źródła jej znajdują się w słynnej puszczy Białowieskiej, wśród bagien, zwanych Biłowo (Orchowo) niedaleko miasteczka Nowy-Dwór i płynąc w kierunku północno-zachodnim, rozgranicza puszczę Białowieską od Wisłockiej.

D. c. n.




## Opowiadanie z życia pająków.

Ciąg dalszy.

Musi ona znieść wiele trudów, narazić się na mnóstwo niebezpieczeństw, zanim wreszcie doczeka się chwili wylęgnięcia się dzieci. Ale i wtedy kłopoty jej nie kończą się bynajmniej, przeciwnie powiększają się jeszcze: jajka nie potrzebowały przynajmniej jeść i leżały spokojnie w koszyczku, młode pajączki natomiast potrzebują wciąż pokarmu, kręcą się, rozłażą, wdrapują się matce na grzbiet i głowę, czepiają się jej nóg, a matka nosi je tak samo cierpliwie, jak jajka i pilnuje jak najtroskliwiej, aby które nie oberwało się i nie zginęło.

— A czy to można zobaczyć taką samiczkę z jajkami lub małemi?

— Naturalnie, że można, trzeba tylko ją znaleźć, a to nie zawsze się uda!

Kaziowi chciało się tego koniecznie. Obaj więc chłopcy rozpoczęli usilne poszukiwania, ale długi czas były one zupełnie bezskuteczne: samiczki z jajkami kryły się dobrze po kątach.

Wytrwałość doprowadza jednak zwykle do celu. Po kilkudniowych poszukiwaniach, Kazio, podnosząc kamień w ogrodzie, dostrzegł uciekającego pająka, na którym siedziało kilkoro małych.

Chłopcy złapali go natychmiast i przewrócili grzbietem na dół: pod odwłokiem miał on rzeczywiście przytwierdzony malutki, zgrabny koszyczek. Nie było w nim już jednak jajek, ale troskliwa samiczka nie odczepiła go umyślnie, żeby małe jej dzieci miały dokąd się chować w razie niebezpieczeństwa. I teraz znajdowało się w nim ich kilkanaścioro.

Obejrzawszy samiczkę, koszyczek i małe, chłopcy wypuścili je na wolność, nie chcieli bowiem ich męczyć ani zabijać.

Innym znów razem Franek opowiedział Kaziowi jeszcze o jednym użytku z pajęczyny.

— Drobne gatunki pająków używają swych nici do odbywania wędrówek napowietrznych, zastępując sobie niemi brak skrzydeł. Snują one mianowicie długie nitki, które następnie wiatr porywa i unosi wraz z uczepionym do nich pajączkiem. Przypomnij no sobie dobrze, czy widziałeś kiedy takie fruwające nici czy też nie?

Kazio bez namysłu odpowiedział:

— Widziałem, widziałem! To to, co

nazywają babiem latem. Mówiła mi nawet mama, że to pająki tak fruwają na tych nitkach; ale jakoś nigdy ich nie zauważyłem.

— I my ich teraz pewnie nie zobaczymy. Trzeba to odłożyć do jesieni, do babiego lata, kiedy to ich jest najwięcej. Wówczas można złapać taką nić na witkę, nawinąć ją na nią i schwycić pająka o ile nie zdąży uciec pierwiej, bo taki pajączek bardzo często wysnuje prędko nową nitkę i spuści się po niej na ziemię, zanim go złapiemy.

— A po co pajączki fruwają na tych nitkach?

— Lecą szukać dogodnych kryjówek na zimę. Nie jest to co prawda bardzo bezpieczny sposób podróżowania, bo pająk nie może kierować swoją nicią, lecz musi lecieć, dokąd go wiatr niesie, zawsze jednak lepszy i szybszy, niż chodzenie piechotą: taki mały pajączek na nici zaleci w parę godzin tam, dokąd na nogach nie zaszedł by nawet w parę dni.

— Muszę koniecznie obejrzeć taką fruwającą pajęczynę i siedzącego na niej pajączka,—powiedział Kazio, którego pająki zajmowały coraz bardziej.

— Tymczasem zaś pójdziemy nad staw i poszukamy tam wodnych pająków—rzekł Franek.

— Alboż są wodne pająki!

— Ho, ho! i jeszcze jakie ciekawe!

Przybywszy nad staw, chłopcy zaczęli robić poszukiwania w wodzie przybrzeżnej wśród roślin, zanurzając w niej przywiązany do żerdki słoik.

Wyciągnęli sporo różnych stworzeń wodnych, nie zwracali jednak na nie uwagi, poszukując wyłącznie topnika. Znalazł się też wkrótce jakiś pająk barwy rudawoczerwonawej z połyskującym srebrzystym odwłokiem.

— To coś tak, jak ten młody pająk z Madagaskaru, tylko że nie złoty, a srebrny—zauważył Kazio.

— No i jeszcze z tą różnicą, że tamten ma sam przez się barwę złocistą, u tego zaś połysk srebrny zależy wyłącznie od warstewki powietrza, znajdującej się między włoskami. Gdy je usunąć stamtąd, cały pająk stanie się brunatnawy. A teraz, kiedyśmy znaleźli pająka, poszukajmy jeszcze jego mieszkania.

Rozebrawszy się częściowo, Franek wszedł do wody i rozpoczął poszukiwania: schylał się i starannie oglądał rośliny zanurzone w wodzie, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

W wodzie, przywiązany do roślin, kołysał się rodzaj srebrzystego dzwonka, wielkości sporego naparstka. Franek odciął go wraz z roślinami, do których był przytwierdzony, umieścił w słoiku, wyszedł z wody i pokazał go Kaziowi.

Dzwonek był utkany z pajęczyny, zwrócony otworem ku dołowi i napełniony powietrzem, które nadawało mu właśnie ten srebrzysty połysk.

— A jakże się powietrze dostaje do tego dzwonu?—spytał Kazio.

— Utkawszy górną część dzwonu, pająk wypływa pod powierzchnię, wysuwa po nad nią odwłok i szybko nurkuje napowrót, zabierając przytem zawsze pewną ilość powietrza między włoskami. Z takim pęcherzykiem powietrza podąża do dzwonu i wpuszcza je do niego. Pęcherzyk wznosi się do góry, nie może jednak wydostać się z dzwonu, ponieważ ten jest obrócony otworem ku dołowi Następnie pająk powraca znów ku powierzchni, przynosi nowy zapas powietrza i tak dalej, dopóki nie napełni całego dzwonu. Powiększa go przytem jednocześnie wciąż przez doplatanie nowych nitek, aż wreszcie stanie się on dość duży.

W dzwonie tym pająk mieszka, w nim czatuje na ofiary, gromadzi zapasy pokar-

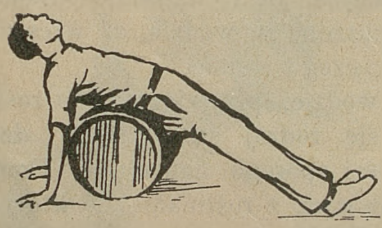
mu na czarną godzinę, w nim wychowuje dzieci, w nim też spędza we śnie zimę, zasnuwszy jego wejście pajęczyną.

— Ależ to dzwon, jakby z bajki czarodziejskiej! — zawołał zachwycony Kazio.

(D. n.)

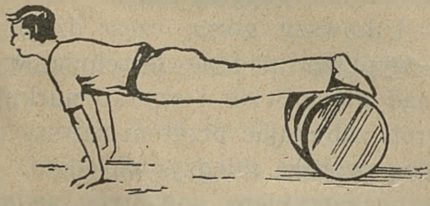
## Nowy sport.

W klasycznem państwie sportu i wszelkich ćwiczeń fizycznych, powstał nowy rodzaj sportu: „Tub-Rolling" — czyli, mówiąc inaczej — ćwiczenia z beczką. Ogólnem zda-



niem ten nowy rodzaj sportu z czasem rozpowszechni się bardzo, gdyż kto nie posiada beczki może ją małym kosztem nabyć.

Największą zaletą „Tub-Rolling'u polega na tem, że każda część ciała przyjmuje udział w tem ćwiczeniu. Ani jeden rodzaj sportu nie współdziała w takim stopniu rozwojowi sił i mięśni.



Po kilku ćwiczeniach wyniki są już widoczne. Mięśnie rąk i nóg dostrzegalnie grubieją, stając się mocniejszemi i sprężystszemi.

Wszystkie ćwiczenia o tyle są nieskomplikowane, że wystarczy trochę praktyki aby pojąć wszystkie ich zasady. Jak widzimy na rysunku, pierwsze ćwiczenie polega na tem, aby położywszy się na beczce w poprzek, stopniowo przetaczać się tak, aby na beczce pozostały jedynie nogi, a korpus zawisł na rękach—i odwrotnie.

## Drobiazgi.

Napoleon, pragnąc podczas powrotu z Moskwy zachować incognito, spytał właścicielkę gospody, do której zajechał, gdzie jest francuska główna kwatera?

— Tu, u mnie, najjaśniejszy panie,—odpowiedziała przytomna kobieta.

* * *

W New-Yorku chłopcy utworzyli specjalne bractwo „zaopatrywania przechodniów w parasole".

* * *

Król Stanisław Leszczyński, ów dobroczynny filozof, spalił się od ognia przy kominku, będąc 89 letnim starcem. Gdy lekarz kazał mu strzedz się zimna, powiedział:

— Lepiej, żebyś mi był kazał strzedz się gorąca.

* * *

W Niemczech opatentowano dywany, które ogrzewa się elektrycznością przy pomocy drutów, przechodzących równolegle wewnątrz dywanu. Dywany takie zamierzają umieszczać zimą w powozach.

* * *

**Euklides**, — ojciec matematyki, wykładając geometrję królowi Ptolomeuszowi, zapytany przez tegoż, czyby nie mógł dla niego wyłącznie znaleźć łatwiejszej drogi w tej nauce, odparł dumnie:

— W geometrji niema osobnej drogi dla królów.

## KRONICZKA.

△ W dniu 23 lutego odbył się w Krakowie, urządzony przez „Straż polską“ uroczysty obchód na cześć Krasińskiego.

△ Lotnik Védrines w Pau, we Francji, osiągnął nowy rekord lotniczy, przebywszy w przeciągu godziny i 15 minut 200 kilometrów.

△ W dniu 28 lutego odbył się w auli uniwersyteckiej w Krakowie uroczysty obchód na cześć Kołłątaja.

△ W Austrji, polak, dr. Leon Biliński, mianowany został ministrem finansów dla Austro-Węgier.

△ Prezydentem nowej rzeczpospolitej chińskiej obrany został Jasanszikaj.

△ W poznańskiem znów obwody Kobelnica, Witowice i Karsk znów przechrzczono w jedną gminę pod nazwą Weitendorf.

△ Lotnik angielski, Cody, wynalazł aeroplan z karabinem maszynowym, zastosowany do celów wojennych.

△ Uroczysty obchód rocznicy Krasińskiedo odbył się we Lwowie dnia 19 lutego.

△ W Wiedniu zmarł hr. Aehrenthal, austrjacki minister spraw zagranicznych.

△ Włosi przenieśli wojnę na ziemie arabskie w Azji, wspomagając powstałe przeciwko Turcji plemiona.

# „O własnych siłach“.

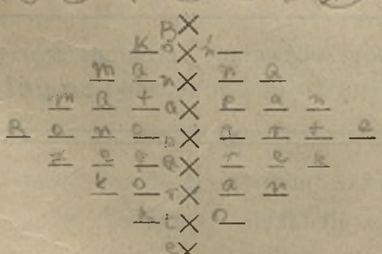
## Łamigłówka kreskowa

ułożona przez «Hlinnę»» i «W. R.» z Pińska.

—o—

Z następujących sylab ułożyć 9 wyrazów, tak aby środkowe litery czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko słynnego wojownika z początku XIX stulecia.

Sylaby: te, ko, ze, man, par, pan, kto, e, na, rek, b, ga, ran, ma, na, ta, koń, bo.



Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę domowe.
3. Jadalne nasienie trawy.
4. Nazwa przylądka na półwyspie Bałkańskim.
5. Wyraz wybrany na łamigłówkę.
6. Przyrząd do mierzenia czasu.
7. Pismo święte mahometan.
8. Zaimek osobowy pytający.
9. Samogłoska.

## *Łamigłówka sylabowa*

ułożona przez Milę W. z Częstochowy.

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko współczesnego poety polskiego.

Sylaby: ni, o, le, usz, rys, ga, ne, be, now, e, go, i, ka, tar, zja, na, lin, sza, rja, wa, ment, wicz, a, ni, lun, ski, bro, ru, gi, sze, le, am, wicz, le.

Znaczenie wyrazów:

1. Rodzaj przenośni,
2. Tytuł staroniemieckiego poematu.
3. Hetman polski.
4. Rzeka w Rosji.
5. Historyk polski.
6. Kwiat.
7. Słynny botanik.
8. Napój bogów.
9. Rodzaj alkowy.
10. Autor polski.
11. Inaczej żywioł.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej 1-ej i 2-ej z Nr. 5-go nadesłali: Irena Larkowska, Jerzy i Jadwiga z Politechniki, Jerzy Dufrène, Aleksander Szwarc, Młoda Myśl, Old Shatterhand i Winneton, W. R. z Pińska, Apeliotes, Zefir, Dziusia Dąbrowska, Wanda Wojciechowska, J. Machniewski, C. Przedmiejska, Ponsowa Róża, Dańko z Jawuru.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej i zadania liczbowego z N-ru 6-go nadesłali: Irena Larkowska, Marmurek z Ostrowi, Apanaczka, Zawisza Czarny, Wanda Langierrówna, Jerzy i Jadwiga z Politechniki, Jerzy Dufrène, Aleksander Szwarc, Old Shatterhand i Winneton, Mietek Dubrawski, W. R. z Pińska, Apeliotes, Zefir, Hadżi - Ali, Dziusia Dąbrowska, Kalina, Malina, J. Machniewski, C. Przedmiejska, Jadzia i Janek M., Dańko z Jawuru.

Rozwiązanie łamigłówki 1-ej i 2-ej z N-ru 7-go nadesłali: K. Zemlich, Zosia Nowicka, Janek Drozdowski, Siostra Błękitnego Krzyża, Djabla Piątka, Bystry Sokół, Telesfor z ul. Szpitalnej, Wiosenne Chmurki, Uczeń szkoły Polskiej, Kalina, Złośnica, Młoda Myśl, Pogromca Tygrysów, Jaśko Toporek, Apanaczka, E. Kotelba, Teoś Wierzbicki ze Żbikowa, J. Machniewski, C. Przedmiejska, Stefcia i Reginka W., Halunia Chrzanowska, Henryk Sztompka, Zagłoba, Ponury Sęp, Dańko z Jawuru, Marmurek z Ostrowi, Dziusia Dąbrowska.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 3.

1. Armenja
2. Bolesław
3. Richelieu
4. Anubis
5. Honorata
6. Asnyk
7. Malta
8. Luidor
9. Iwangród
10. Nabuchodonozor
11. Cisza
12. Ozyrys
13. Loara
14. Narcyz

Abraham Lincoln.

Rozwiązanie arytmografu z Nr. 3.

1. *Ewa*
2. *Gil*
3. *Lęk*
4. *Uwięziony*
5. *Kościelna*
6. *Agamemnon*
7. *ń*
8. *Inn*
9. *San*
10. *Ćma*
11. *Mak*
12. *Ara*
13. *Bosak*
14. *Rakieta*
15. *Benwenuto*

Więzień na Marsie.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 4.

1. Irys
2. Gustaw
3. Napoleon
4. Aniela
5. Cytryna
6. Y
7. Poniatowski
8. Abraham
9. Dudek
10. Ewerest
11. Ryga
12. Etna
13. Wół
14. Sęp
15. Kawa
16. Igła

Ignacy Paderewski.

Rozwiązanie szarady z Nr. 4.

*Ga—la—ry.*

Nowoprzybywający prenumeratorzy otrzymać mogą dawniejsze roczniki **za pół ceny.**

Administracja uwzględnia reklamacje tylko w przeciągu dwóch tygodni i tylko prenumerujących pismo **wprost** w administracji (Nowy-Świat 53 i Ordynacka 8 m. 7).

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

**Warunki prenumeraty.**

| | w Warszawie | z przesyłką |
|---|---|---|
| Rocznie | rb. 2 kop. 50 | rb. 3 kop. 50 |
| Półrocznie | „ 1 „ 25 | 1 „ 80 |
| Kwartalnie | „ — „ 65 | — „ 90 |
| Rocznie z dodatkami w oprawie | rb. 4 kop. 30 | 5 „ 30 |

Za odnoszenie do domu 10 kop. kwartalnie.
W Galicji kwartalnie kor. 2.40.

TREŚĆ NUMERU:



Redaktor i wydawca: **Marja Bujno-Arctowa**

Druk M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.